

„WSZYSCY STALIŚMY SIĘ NIEŚMIERTELNI”

N i e b i o s a

Wcale nie były takie, jak myśleliśmy. Anielskie istoty okazały się być bestiami, łaknącymi krwi i mordu. W ogóle nie przypominały tych wspaniałych z opowieści. Dla zabawy porwały 147 naszych. Nie oszczędzili nawet dzieci.

I dali tylko jedno zadanie:

“Zabij... albo zgiń”

I

W ogromnej, wilgotnej i zapleśniałej sali bez okien siedziało nas czterdzieścioro dziewczęcioro. Podzielili nas na trzy grupy i kazali czekać, aż wstanie słońce, by ogłosić, dlaczego nas zniewolili. Zaatakowali późnym wieczorem, gdy połowa istot pogrążała się we śnie a druga dopiero rozpoczynała nocne życie. Nie mieliśmy nawet czasu zareagować a tym bardziej przejść do ofensywy.

- Czemu Bóg pozwala, by w swoim królestwie niebieskim działy się takie rzeczy?
-załkała zielonoskóra dziewczynka, przyczepiona do mej nogi.

- Boga tu nie ma - wycodziłam przez zaciśnięte zęby. - I nigdy nie było. Ani w niebie, ani w czeluściach piekielnych. Wszystkie te nieśmiertelne istoty są sobie równe -podkreśliłam ostatni wyraz zanim dodałam. - Nie ma znaczenia, gdzie trafisz po śmierci, wszędzie będzie tak s a m o.

Widząc strach w oczach młodej Najady, położyłam dłoń na jej policzku i przykucnęłam, wpatrując się w nią bacznie. Gdy po raz pierwszy ujrzałam zbliżające się anioły, kazałam wszystkim moim siostram ukryć się w podmorskich jaskiniach, gdyż jako jedyna parałam magią, chociaż – cóż - na niewiele się to zdało. Melissa, jak to ona, musiała do mnie przypłynąć, by sprawdzić, co się dzieje.

- Pamiętaj, że trafiłaś tu na swoje własne życzenie – wytknęłam jej. - Pamiętaj też, że zawsze będę przy tobie i wyjdziemy stąd żywe. Rozumiesz? – dodałam.

A gdy kiwnęła głową na znak zrozumienia, objęłam ją niebieskawymi ramionami. Powstałam i rozejrzałam się po zebranych tu nimfach: Driadach, Okenidach, Lejmodiadach. Były tu także Gobliny z ogromną przewagą Elfów. Człeków i innych też nie brakowało.

- Czy jest wśród nas Tkaczka? – zamyśliłam się.

Jedna ze staruszek przy ścianie wsparła się o kolano. Miała już stanąć, kiedy jeden z wojowniczych elfów podniósł się gwałtownie, ruszając w moją stronę. Jeszcze nie wiedziałam skąd, ale wydawał się znajomy.

- Jesteś nimfą wodną czyż nie? - to nie było pytanie. - Więc dlaczego takie nędzne stworzenie jak ty próbuje się wywyżżyć przed zebranymi tu osobami?! - wymachiwał rękoma, gestykulując swoje bezsensowne oburzenie, skierowane w moją osobę.

- Nie próbuję tego robić - powiedziałam melodyjnym głosem. - Pragnę tylko nas ocalić i upewnić się, że nie zabiorą wolności innym. Nie chcesz ochronić swoich bliskich? Twojej ukochanej Travis, Brenlee? - już sobie przypominałam. - Nie pamiętasz, jak udaliście się pod nasz staw, pragnąc magicznego uleczenia dla niej? – dodała. A on milczał. Widziałam ból wypisany na jego twarzy, mimo tego kontynuowałam. - Dalej nie rozumiesz? Anioły chcą, żebyśmy wybili się nawzajem. Zrobili z nas drużyny, by zapewnić sobie rozrywkę – prychnęłam. - A Tkaczka może zapewnić nam tarcze. My natomiast musimy się przygotować – mówiąc to, podwinęłam nogawkę potarganej i lekkiej sukni Najad, ukazując sztylety przyczepione do mych nóg. - Mam ich osiemnaście i dam każdemu z tego pomieszczenia, jeśli choć trochę umie się nimi posługiwać. To jak? Pomożemy sobie nawzajem?

- Masz rację - przyznał niechętnie. Widocznie przemówił do niego sens mych słów. - Jednakże nie próbuj nami przewodzić - może jednak zagalopowałam się myślami, iż zrozumiał? - Znasz się na magii, prawda? Świetnie, ja na broni i strategii, więc jakoś się dogadamy i nie wyjdziemy stąd martwi. – dodał. Nie byłam w stanie odczytać jego nastawienia. Najwyraźniej uznał temat za zakończony, bo zapytał:

- To co z tobą, Tkaczko?

Kobieta wreszcie wstała i podeszła do nas niepewnym krokiem. Później wszystko minęło tak szybko. Stworzyła trzydzieści dwie kamizelki, których nie przetnie nawet najostrejsze ostrze. Przypadły one najmłodszym i najslabszym, noże trafiły do pozostałej siedemnastki a ostatnie podarowałam najsilniejszej osobie. Sama rozerwałam część spódnicy, pozwalając sobie na więcej swobody i zawinęłam materiał wokół rąk, oplatając knykcie. Pozostali poszli w moje ślady, więc w sali pogrążanej w ciemnościach zapanował chaos, kiedy obszerne drzwi otworzyły się z hukiem, a do środka wdarły anioły.

Niechętnie przyznam, że ich obszerne skrzydła zrobiły na mnie wrażenie, zwłaszcza do momentu, gdy jeden z nich - ten z przodu - wyszczerzył zębiska, które jeszcze bardziej przestraszyły Melisse, teraz wciskającą się w mój bok i ze spojrzeniem wbitym we mnie, szeptając płaczliwie: - "Vernie... boję się". Przyciągnęłam ją jeszcze bardziej i uspokajająco przejechałam dłonią po jej zielonych, takich samych jak moich, włosach, zapewniając, że wszystko będzie dobrze i prosząc, by pamiętała o moim wcześniejszym zapewnieniu, choć teraz nie czułam, żeby było ono aż tak realne. Ale wiedziałam jedno. Nie ważne co, zawsze będę próbowała walczyć za nią i resztę tu zgromadzonych.

Zwinęłam palce w pięść, gotowa, by w każdym momencie poddać testowi moje magiczne zdolności.

II

Porcelanowe kafelki lśniły w blasku dnia, odbijając promienie słoneczne na białych trybunach areny, na środku której się znajdowaliśmy. Byliśmy tam wszyscy. Ku mojemu zdziwieniu z pozostałych grup nie ubyło ani jednej osoby. Na nasz plus działało to, że tylko my wzięliśmy się w garść, zjedналиśmy i przygotowaliśmy na najgorsze. Każdy czekał w zniecierpliwieniu na werdykt o naszym pechowym losie. Nie trzymywali nas długo w niepewności.

- Jak wspaniale, że tyle osób zjawilo się na przedstawieniu, w którym w roli głównej wystąpią śmiertelnicy z Ziemi - anioł zabrał głos.

Jasno dał do zrozumienia, kim dla niego jesteśmy, choć dla nas to wcale nie było już zdziwieniem. T e a t r z y k i e m. Zacisnęłam mocniej szczękę, zanim kontynuował.

- Będą skomleć i błagać o litość – urwał, dodając chwili dramaturgii. - ...samiych siebie - po zgromadzonym rozległy się okrzyki aprobaty. - Podzieleni na grupy – kontynuował. - Ich zadaniem będzie zmierzyć się ze sobą każdego wieczoru. Po każdej rozrywce zostaną oddelegowani do nowego domu. A drużyna, w której po trzech dniach będzie najmniej członków - wzniósł nienaturalnie długie ramiona ku górze - zostanie podana jako obiad dla naszych ukochanych pupili. Będą oni się nimi zabawiać aż w końcu zejda i łaskawie postanowią ich zjeść. - Teraz jego uwaga skupiła się nas. Pod jego mrozącym krew w żyłach spojrzeniu, każdy tu obecny zesztyniał. - Zaczynać od teraz! – rozkazał.

- Jakaś szybka strategia? - zapytałam ściszym głosem Brynlea.

- Przeżyć. Przeżyć do jutra - przełknął głośno ślinę a twarz obrócił w moją stronę. -Wtedy wymyślimy coś lepszego.

Żadna istota obecna tu na dole, na arenie, nie poruszyła się o ani jeden milimetr, co sprawiało niemały kontrast z bestiami, głośno pragnącymi naszych udręk. W obliczu nowego zagrożenia zawartość żołądka podeszła mi do gardła. W wodach trzeba jedynie chronić się przed kłutwiarzami, łowcami nagród, przygód i atakami ze strony innych podwodnych istot typu Nag czy Syren, rzadko zapuszczającymi się na nasze tereny. A to. To był kompletnie inny poziom niebezpieczeństwa. Sterczeliśmy we wręcz namacalnym napięciu, dopóty prowadzący anioł znów nie przemówił.

- Widzę, że niektórzy potrzebują zachęty - po jego mimice wyraźnie było widać, że coś wymyślił. Nie mogło to wróżyć nic dobrego. - Osoby, które przeżyją najdłużej, wróca do swych domów pod pewnymi warunkami. Pierwszy z nich. Musi połać się krew. W tym momencie. Jeśli to się nie stanie, wypuścimy zwierzątka. Więc do dzieła i nie pozwólcie nam się nudzić. Weselcie nas do zmroku - jego pobratymcy zaczęli przyznawać mu rację. Ohydne kreatury.

Kątem oka zauważyłam ruch za mymi plecami, więc szybko ostrzegłam innych.

- Lepiej się nie ruszajcie i niczego nie próbujcie zanim dobrze się nie zastanowicie. Nie ma szans, że nie ma w tym jakiegoś haka. Najpewniej odesłaliby nas niezdolnych do wypowiedzenia choćby słowa bądź martwych albo może na dodatek kazali znajdować coraz to nowsze ofiary.

- Masz rację - przyznał Elf. - Nie wspomnieli o naszym stanie, tylko o warunkach, o których swoją drogą nie mamy bladego pojęcia. Jednak wierzę, że jeśli nie zacznie się jatka, to oni sami ją rozpoczną.

I właśnie wtedy pierwsza osoba postanowiła wyjść przed szereg. Nie było już odwrotu. Goblin rzucił się biegiem do najbliższego stworzenia z przeciwległej drużyny z oczami zalanymi łzami. Zmora jednak nie dała się podejść a dwie drużyny zaczęły na siebie nacierać. Wcale nie mieliśmy pozostać bez skazy. Bez żadnej duszyczki na sumieniu, gdyż pierwsze istoty i nas zaczęły atakować. Była nimi trójka człeków - najpewniej łowców, pragnących wybić najsłabsze ogniwa - dzieci. Ta myśl mnie zmroziła. Melissa.

Na pierwszą linię wyszli ci ze sztyletami, w tym i ja. Pierwotna natura kazała mi uciekać bądź choćby użyć mocy. Tyle, że tu nie miałam zbyt dużego wyboru. Musiałam działać a nie miałam wody potrzebnej do czarów. Stałam hardo, czekając na atak.

Ale nie, oni mieli inne plany. Dołączyli do nich kolejny i zajęli się wymiana ciosów z mojej lewicy. Oprócz jednego. Tego, którego dostrzegłam kątem oka i diametralnie zmieniłam kierunek. Chcieli zebrać nas z jednej strony, by spokojnie pozbyć się reszty. Cholera. Ruszyłam do mojej jeszcze nic niewiedzącej siostry. W ostatniej chwili utrwaliłam chwyt noża, by pewnie odebrać jego atak. Zamrugął ze dziwienia, lecz szok nie trwał długo. Zamachnął się niewiele dłuższym mieczem, co znów odparłam stanowczym ruchem broni, śledząc jego ruchy. Na jego twarzy przemknęło podenerwowanie, tuż przed kolejnym pchnięciem. Przy tym straciłam równowagę i runęłam na ziemię. Byłoby już po mnie, gdyby nie pewien przedmiot przykuty do boku napastnika. Nie minęła nawet chwila a woda wydarła się z bukłaka, przecinając szyję łowcy, jednym zgrabnym ruchem ręki. Jego ciało opadło bezwładnie na ziemię.

Zemdliło mnie, ale nie mogłam pozwolić sobie na słabości. Zamiast tego sięgnęłam po broń, podając ją Melissie, która uważnie patrzyła na całe zajście. Nie odezwała się ani słowem. Ja zaś dołączyłam to drużyn ze strumyczkiem, posłusznie ciągnącym się za mną.

- Może mi się dziś poszczęści - pomyślałam.

Pośrodku areny zebrało się już niemałe skupisko kombinacji krzyków bólu i rozpacz.

Większa część osób z kamizelkami ruszyła do boju, widząc nasze nierówne szanse. Mieli taką przewagę, że większość ciosów była im niegroźna.

Miałam już do nich dołączyć, kiedy przysłała ta myśl. Postanowiłam chronić najbardziej bezbronną część drużyny, broniąc się samą wodą, która ku mojej radości

wzbierała na objętości dzięki kolejnym, gotowym zabić z premedytacją, istotom posiadającym ciecz.

Do mych oczu co rusz docierały brzdęki mieczy, chrupot łamanych kości oraz błagania o litość – tak jak przewidywały anioły. Nikt nikogo nie oszczędzał. Nawet ja, o ile odważyli się podnieść rękę na moich podopiecznych.

Tak pozwoliłam sobie nazwać wszystkie dzieci w zespole. Nie zasługiwały na swój los, więc mimo nieprzyjemnych skurczów w żołądku, poczucia winy i żółci podchodzącej do gardła, walczyłam o ich przyszłość, o życie. Na szczęście śmiazków nie było zbyt wielu, gdyż większość skupiała się na tym, co działo się w centrum.

Dzisiejszy wieczór nie trwał więc długo i walki powoli dobiegały końca, gdy anielska istota postanowiła zakończyć widowisko następującymi słowami:

- Mimo tego, że rozrywkom mogłoby nie być końca, wypadaloby już kończyć - rozległy się dźwięki sprzeciwu. - Chyba nie chcemy kończyć czegoś, co może nas będzie zadawałać przez następne dni? - spytał z nutką ironii, zamykając tym paszcze reszty. - Świetnie. Więc wy - śmiertelnicy rozstąpić się i stanąć w szeregach swych grup. - Każdy posłuchał bez ani jednego zajknięcia. - Zobaczmy, trochę was ubyło, lecz nie tak dużo, jak bym się spodziewam - wskazał ręką jedną z drużyn. – Dwadzieścioro jeden poległych, dwadzieścioro ośmioro żywych. Dwadzieścioro trzech poległych. Niewiele lepiej. - Teraz wskazał na nas. - Dwanaścioro poległych... - Nie zdołali zabić nikogo z kamizelką. Ale zranić już tak. - Więc przejdźmy już dalej. Strażnicy. Oddelegować ich.

Zza pleców wszystkich wyłoniły się anioły, uzbrojone w masywne zbroje.

III

Przez kręte korytarze niczym z labiryntu prowadziło nas pięciu aniołów. Szliśmy ku pomieszczeniu, w którym mieliśmy spędzić następną dobę przed kolejnym rozlewem krwi i dojść do siebie po dzisiejszej rozrywce, co i tak było niemożliwe. W tak krótkim czasie nie sposób uleczyć wszystkie rany. Chyba, że w zespole byli uzdrowiciele. Czyli nie u nas.

Trafiliśmy do ogromnego, zamkniętego ogrodu. Były tu różnego rodzaju kwiaty, drzewa a nawet zioła. Albo te bestie były ułomne, albo dobrze wiedziały, co robiły, chcąc wiedzieć, co zrobimy sobie nawzajem. Nie przewidzieli jednak, że moglibyśmy wykorzystać to przeciw nim.

- Nie mogliśmy trafić lepiej - pomyślałam.

Te ohydne stwory nieświadomie przyszykowały pułapkę na swą zgubę. W mojej głowie zaczęły powoli obracać się trybiki planujące plan zasadzki. Brynlee przerwał ciszę.

- Czas coś wymyśleć - ogłosił smętnym tonem, klaszcząc w dłonie.

- Zróbmy naradę - mruknęłam w odpowiedzi, siadając naprzeciwko.

- Jestem Jesiona. Można? -zapytała Driada, usadowiwszy się blisko naszego koła.

-Jeśli dobrze zrozumiałam, obmyślamy plan? – zapytała. Kiwnęliśmy głowami na znak zgody.

- Mamy już jakiś pomysły?

-Ni.. – chciał powiedzieć elf, ale weszłam mu w słowo.

-Tak, jeśli dobrze zauważyłam rosną tu rośliny, z których można zrobić truciznę -oznajmiłam.

- Dobrze się składa, znam się na tym – odparła istota cała zielona, porośnięta mchem i z rogami na głowie.

- W takim razie, co proponujecie? - spytał Brenlee.

- Chcesz tą trutką pokonać przeciwników? - dociekała Jesiona.

- Ja? Nie! - oburzyłam się - A n i o ł y!

- I co ty chcesz z nimi zrobić? Otruć wszystkich i uciec? Nawet nie wiemy jak - Elf brzmiał na zirytowanego, westchnęłam więc w duchu.

- Mogę przedstawić moją propozycję? Nie mam pewności czy wypali, rozwinąć? - nie usłyszałam głosu sprzeciwu, więc kontynuowałam. - Ze starych podań wynika, że można otworzyć portal do piekieł. Po tym gdy oba te królestwa się zmierzą, nie zostanie po nich nic. By tego dokonać, potrzebowałabym ich skrzydeł, scalonych ze mną a potem odprawiłabym pewien rytuał – mówiąc to, przypomniało mi się coś. - I jeszcze jedno. Jeśli dobrze pamiętam, wystarczy przeciąć ich skrzydła w danym miejscu i nie będą mogły ani latać, ani czarować - zlustrowałam ich twarze. - Co wy na to?

Ominięłam pewien szczegół. Nie mogłabym objawić go przy Melissie, stojącej gdzieś obok.

- Nie taki zły pomysł, lecz z grubsza ryzykowny. Nie mamy pewności czy wypali a szansę najpewniej mamy tylko jedną – zastanawiała się nimfa leśna. - Ma ktoś coś lepszego? – dodała.

- A nie mogłabyś po prostu otworzyć przejścia na Ziemię? – powiedział Brenlee. - A poza tym - wiedza o ich słabym punkcie może nam uratować życie. Skąd o tym wiesz?

- Czytałam w zapiskach pierwszych - odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

Nie pytali, skąd je wytrzasnęłam. I dobrze. Sama nie miałam pojęcia, gdyż kiedyś po prostu je znalazłam. Wróciłam do obecnie ważniejszego tematu do omówienia.

- Później opiszę wam dokładnie co, gdzie i jak - zwróciłam się głównie do Brenle'a.

-Tamto to jedyne wyjście. Nie ma albo nie znam takiego zaklęcia. Nie widzę żadnego innego racjonalnego rozwiązania.

- Żadnego? – dopytywała Jesiona. - Jesteś pewna?. W jej głosie pobrzmiwała nutka nadziei.

- Tak, na 99%. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek natknęła się na wzmiankę o portalach.

- Oprócz tych do czeluści piekielnych - odpowiedziała.
- Ten temat mam całkiem dobrze zgłębiony.
- W takim razie zostaje to, co wiesz. Moglibyśmy spróbować, przed lub po bitwie, otruć anioły i pozbawić skrzydeł.. - nie kłamał, doskonale mógł składać fakty w jedną całość.
- Będzie ich pięcioro - wtrąciłam. Może i miał duże zdolności, lecz szczegóły było trzeba mu podawać jak na tacy.
- Czyli nie tak źle, z taką ilością może sobie poradzimy - teraz głos zabrała Jesiona. - Przejdę się później i sprawdzę, jaką truciznę będziemy w stanie stworzyć.
- Tylko jak chcesz zdobyć te skrzydła? - zapytał.
- Odciać je? - powiedziałam, przewracając oczami.
- Jak można je przenieść na siebie?! – perorował. Charakterami dobrali się wręcz idealnie.
- Dzięki magii - przerwałam ich wymianę zdań. - Tkaczka mogłaby mi je przyszyć a cała reszta magicznych istot przeleje na mnie moc, bym mogła czarami się z nimi połączyć.
- To robimy tak jak proponujesz.

Przedstawił plan od A do Z, nie zapominając nawet o najmniejszych szczegółach. Obgadywaliśmy go do rana, w otoczce ciemności, podczas gry reszta próbowała zasnąć. Melissa kręciła się niespokojnie na mych kolanach. Pograżona była we śnie, choć bardziej przypominał on koszmar. Nie tylko ona nie miała spokojnej nocy. My położyliśmy się na marne trzy godziny, by z samego rana zacząć przygotowania i wdążyć plan w życie.

IV

Wieczór zbliżał się nieubłagalnie a my nie byliśmy wystarczająco gotowi, więc panika przez kilka sekund wzięła górę nad resztą emocji. Nie mogłam sobie jednak na nią pozwolić. Nie było na nią czasu. Wzięłam głęboki wdech poświęciwszy chwilę, by wziąć się w garść, otworzyłam szerzej oczy.

- Brenlee, jeśli nie zdążymy, odkładamy plan na później czy staramy się kupić jak najwięcej czasu? - zapytałam.
- Wszystko zależy od tego, jak szybko zadziała skończona, bądź nieukończona trucizna. Jesiona? - odbił pałeczkę dalej.
- Wybrałam najszybszą z możliwych, efekty będą widoczne już po niecałej minucie. Obecnie po kilku. Za mało jej mamy - przygryzła górną wargę, mówiąc to. - Jak szybko będziesz w stanie przymocować skrzydła Vernie? - pytania wróciły do mnie.
- Nie wiem. Nie mam pojęcia. Z nami wszystkimi potrwa to zapewne od pięciu do piętnastu minut. Mam nadzieję - przełknęłam głośno ślinę. - W najgorszym wypadku nawet do kilku godzin.

- Mam nadzieję, że nie. Po takim czasie na pewno ktoś się zorientuje, że coś jest nie tak - mimika twarzy Jesiony przybrała widoczny grymas. – Idziemy na pewną śmierć.

- Nie mów tak. To i tak najlepsza opcja z możliwych - zaproponował Brenlee. - Warto zaryzykować. Nawet jeśli polegniemy, to z honorem. Może inni wezmą z nas przykład - westchnął zrezygnowany.

- W takim razie chyba nie mamy innego wyboru - głos zabrała Driada.

- Kiedy się zorientowałaś? - zadrwiłam. Nie było mi jednak zbyt długo do śmiechu. -Zbliżają się.

Zamarłam.

- Racja... - brzdęk kroków niósł się po ogrodzie. - Gotowi?! - wydarłam się.

Mimo narastającego niebezpieczeństwa, każdy krzyknął "tak", gotów ryzykować życie. Jedno jednak nie wyklucza drugiego. Pojawiła się także wątpliwość. Nikt jednak nie zrezygnował, a wręcz przeciwnie. Ze strachem w oczach staliśmy gotowi na to, co ma nadejść. Tylko dzieci zajmowały najbardziej odległy kąt ogrodu, oddzielone od widoków, które zaraz my mieliśmy ujrzeć.

Kiedy drzwi otworzyły się z hukiem, nikt się nie zawahał.

Część grupy stała jakby była gotowa do wymarszu. Ale słowo "część" było tu najważniejsze. Za zadanie mieli odwrócić uwagę aniołów, gdy my wyskoczmy na nich z trucizną w pyłku. I tak się stało. Drugą połowę przedostaliśmy się jak najbliżej napastników, rozsypując ziolo. Trutka jednak nie była gotowa, więc i działanie znacznie słabsze, i opóźnione.

Po manewrze cofnęliśmy się jak oparzeni a śmiech istot niebieskich, taki chrapliwy i złowieszczy, jakby śmierć przez nie przemawiała, wprowadził nas w osłupienie. Stanęliśmy sparaliżowani.

Zaraz miało zacząć się najgorsze.

Można by powiedzieć, że pierwsza faza się udała i że była nieudana. Ale żadna to różnica. Czas na kolejny etap.

"Walczyć i przeżyć aż padną nieprzytomni" - swoją drogą mało szczegółowe zadanie, biorąc pod uwagę, że wcześniejsze było doprecyzowane pod każdym względem. Czas, miejsce, ruch, wszystko. Dosłownie w s z y t k o.

Na pierwszy ogień ruszył Brenlee z kompanami miecza, mknąc bezszelestnie po trawie. Bo oczywiście niecała druga połowa ruszyła z truciznami. Byłam to ja, Jesiona oraz sześcioro innych różnorodnych istot. Może plan nie był aż tak niedoprecyzowany? Chociaż dalej uważam, że to magiczne stworzenia powinny iść pierwsze. Mielibyśmy o wiele większe szanse, by nie skończyć jako proch, z którego powstaliśmy i w który obrócić się mieliśmy. Choć miałam nadzieję, że nie nastąpi to tak szybko.

Z gardła paru wojowników, gotowych poświęcić się dla sprawy, nie zdążył wydobyć się nawet krzyk, gdy zostali spopieleni. Ku zdziwieniu chyba wszystkich, każdy został na swoim miejscu, przestrzegając planu.

Miałam już sięgać po całą wodę, jaką zdołałam uzbierać z rozgrywki, powietrza i innych źródeł, teraz z wiadra, lecz ostre spojrzenie Brenle'a z Jesioną przymurowało mnie do ziemi. Najwidoczniej nie była jeszcze pora na mój ruch. Albo ten wzrok oznaczał, że mojej magii mam użyć do innych, teoretycznie ważniejszych celów i mam jej nie marnować, nawet mimo wielu zapewnień, że tkanie wody w ogóle na mnie nie wpływało. Cóż, nie posłuchali i wykluczyli mnie z drugiego etapu. Driadę stojącą nieopodal zresztą też. Jej czary mogłyby być pomocne tylko w ostatniej części. Ta kontrola ziemi, choć niewielka, na niewiele się nam przyda teraz. Jesiona posługiwała się jedynie jej magią pierwotną jak mniejszy człon mych sióstr. Prawie żadna nie potrafiła tkać wody a tym bardziej zakłęb. Zwłaszcza tych pierwszych.

Po chwili kolejnych dwóch rzuciło się na anielskie bestie, ledwo zadrapiując ich skrzydła mieczem, zanim i ci zaliczyli zgon. Żołądek mi się ścisnął, wielu z nas, z tej i innych drużyn nie poczuje już uczucia strachu czy jego skutków. Nie poczują już nic. Lecz dalej stałam i przyglądałam się coraz to nowszym atakom, odliczając już tylko sekundy. Musiałam przyznać, że odwróciliśmy ich uwagę - to działało. Poprzez poświęcenie tych, których nawet ja i większość z nas nie znała. Ratuja nas, dając nam potrzebny czas, by w zamian zostać zapomnianym.

Cztery minuty pięćdziesiąt osiem.

Cztery minuty pięćdziesiąt dziewięć.

Pięć minut.

Pięć minut jedna.

Pięć minut dwie.

Jesiona się przeliczyła a poległych było już wielu. Walczyli nieugięcie, nawet do ostatniej kropli krwi, bo anioły chciały większej rozrywki. Przyłączyło się już większość czarujących, których nie było wcześniej. W tym i Driada, i Brenlee, trzymali się nie najgorzej. A ja musiałam na to patrzeć, by móc odegrać dopiero końcowy akt.

Pięć minut pięćdziesiąt trzy.

Pięć minut pięćdziesiąt cztery.

ZADZIAŁAŁO!

Uśmiech mimowolnie zalał moją twarz, widząc opadające, sparaliżowane, mdlejące anioły. Nie trwał on niestety długo, bo do kadru wdarły się nieboszczyki. Wyrecytowałam krótką modlitwę w ich imieniu, teraz nawet nie wiadomo, do kogo, zanim pędem dotarłam do towarzyszy. Nie było trzeba już trzymać gardy, choć każdy dalej trzymał się na baczności.

Nie zamieniliśmy choćby jednego słowa, od razu przechodząc do podcinania skrzydeł, by nie marnować czasu. Nie minęła chwila, a nadszedł ten moment.

Czas rozpocząć kolejną fazę.

Brenlee wraz z kompanami pomogli mi mieczami, ja - tylko z nędznym sztyletem - odcinać tak zwany narząd lotu. Pod koniec zostałam już sama, z tą brudną robotą, ponieważ uznali, że moje marudzenie, że źle odcinają, nie pomagają, jest zbyt męczące. Uporałam się z tym po kolejnych paru minutach pełnych napięcia i oczekiwania.

Robiło się coraz ciemniej. Ci młodszy płakali, przerażeni. Może i oczy nie mogły dostrzec całego okrucieństwa danej chwili, ale słuch dalej mieli sprawny. Mogliśmy bardziej to przemyśleć i zatkać niektórym uszy, oszczędzając cierpienia i tortur związanych z zetknięciem z tyloma śmierciami w tak młodym wieku. Wśród nich i Melissa, pocieszająca młodszych kolegów i koleżanek. Ona na szczęście nie bała się zbliżającego mroku. Nie dała tego po sobie poznać.

Tkaczka nie czekała długo, by przemknąć do mnie i rozpocząć proces. Pomogła mi zwinnie pozbyć się materiału z pleców, rwąc i rzucając go niechlujnie na wilgotną od krwi i rosy trawę.

- Jesteś gotowa? – zapytała, upewniając się czy może zaczynać.

- Tak - odpowiedziałam pewnie, kiwając przy tym głową.

Usiadłam najprostszej jak potrafiłam i już zamykałam oczy, kiedy dotarły do mnie słowa Melissy biegnącej co nas.

- Melss? Co ty tu robisz? - zapytałam przestraszona.

Ona jedynie przytuliła się do mnie, splatając nasze palce. Zrozumiałam, że chciała być przy mnie. Ja zresztą też tego pragnęłam. A jednak...

- Ryzyko jest zbyt duże. Nie wybaczę sobie, jeśli coś ci się stanie - westchnęłam.

- Nic mi nie będzie.

- A co z resztą młodszych? - podeszła do nas Jesiona, zwracając się do Melissy.

- Pheobe z nimi siedzi - wzruszyła ramionami. - A ja chcę jakoś pomóc. Jakkolwiek. Pozwól mi bynajmniej dotrzymać ci towarzystwa - zwróciła się teraz do mnie.

- Dzięki - mówiłam szczerze. - Ale obiecaj, że jeśli coś pójdzie nie po naszej myśli, cokolwiek, uciekniesz jak najszybciej i schowasz się z resztą dzieci?

- Dobrze.

I tak trwałyśmy.

Podalam Tkaczce skrzydła skąpane we krwi, brudząc się przy tym niemiłosiernie. Mimo ogromu nieszczęść, jakie wyrządziłam innym, czekałam na ten moment. Sumienie też siedziało cicho jak myszka.

Brenlee z kimś jeszcze, najpewniej z Noelem, jeśli wierzyć moim uszom, podtrzymywali masywne skrzydła. Magiczna igła przebijająca moją skórę - bolała. Nie był to

ból nie do zniesienia. Ledwie go czułam dzięki czarom. Proces ciągnął się w nieskończoność. Jesiona co rusz przypominała mi o zaklęciu, którego musiałam ciągle używać a Melss dodawała otuchy.

Wzięłam głęboki wdech. Tkaczka pociągnęła ostatni raz nitkę przy drugim skrzydle i mogłam zaczynać. Pora na najtrudniejsze, choć pod wieloma względami prostsze niż etap drugi.

Wstałam na chwiejnych nogach. Magiczne istoty przesyłały do mnie swą magię, a bardziej do miejsca, w którym skrzydła były przypięte do mego ciała. Czułam jak czysta energia przechodzi przez każdy mój nerw. Było to dziwne uczucie, ale w porównaniu do moich wnętrzności przebijające się przez skórę, by połączyć się z czymś cudzym było dopiero nieswoje.

Mrugnęłam oszołomiona. Zamachnęłam się czymś na mych plecach. Prostowałam i składałam w kółko. Mogłam testować to w nieskończoność ale miałam ważniejsze zadanie. Nie mogę marnować więcej czasu-pomyślałam, rozejrzawszy się po ogrodzie.

Każdy kto jeszcze żył cofną się jak najdalej, jednocześnie na wszelki wypadek nie oddalwszy się na tyle by nie móc trzymać anioły w zasięgu możliwości ich reakcji, oprócz Jesiony, pilnującej akcji z mojej prawicy oraz Brenle'a z lewej strony. Melissa trzymała się przede mną bokiem, by to widzieć mnie jak i uważać na nadciągające niebezpieczeństwo.

- Pora zaczynać - wymamrotałam pod nosem. Wyciągnęłam sztylet, stanęłam twardo na posadce, przymknęłam oczy, teraz moje skrzydła wyprostowały się ku górze i zaczęłam recytować zaklęcie mające otworzyć portal do piekieł - Ubique sonent verba mea. Vis eius in terram fluat. Vera sint verba mea. Per venas fluat immortalis potestas – mówiłam, lecz to nie był mój głos, nie moje słowa, nie powiedziałabym ich tak dokładnie. Słowo w słowo. Stara księga stanęła mi przed oczami i słowa w niej wyrzyte także. - Fiat voluntas mea divina scientia praedita. inferna et caeli regna paria et distant et propinque diversa, sed unum erunt. Unus paries dividet eos. Murus universi. At mea verba fundet divinus terminus. - Im dalej tym więcej siły musiałam wkładać. Pod moimi stopami już wcześniej utworzył się magiczny krąg z runami, teraz lewitujący coraz wyżej i wyżej-Spatium erit. Maior futurum est. Hoc est tempus. Tempus ad extremum pugnae. Judicium veniat. Haec est voluntas Dei.

Miałam dość. Resztkami sił otwierałam portal nad nami. Szerzej! Krzyczała moja głowa. S z e r z e j! S Z E R Z E J!!! Zajmował już coraz więcej powierzchni. Ale szczęście nie trwało długo.

Anielskie bestie wypadły z korytarza.

Jeden, drugi, trzeci, czwarty, piąty, szósty, siódmy, ósmy, dziewiąty. Liczyłam. Tyle, że nie byłam w stanie. Były ich dziesiątki a za drzwiami ciężkie kroki ciągnęły się daleko w nieskończoność. Nie mieliśmy szans. Portal wciąż był za mały. Czeluści piekielne były na tyle

widoczne, by dostrzec, co się tam działo. Nie byli w stanie przejść przez niedokończony portal.

Rozejrzałam się sparaliżowanym wzrokiem, szukając w tłumie Melissy. Stała tam, nie uciekała, jak ją o to prosiłam.

A ja znów się tylko przyglądałam. Nienawidziłam tego. Uczucia, że nie mogę nic zrobić. Że muszę stać bezczynnie. Starłam się, nie było łatwo otworzyć pełen portal, ale nie przypłaciłam za to życiem, nie podejmowałam tak ogromnego ryzyka. Musiałam jednak uratować wszystkich tych, którzy przeżyją. Tyle mogłam zrobić.

Jesiona używała magii pierwotnej, wprawiając skały w ruch. Zamyka przejście, niszcząc je, zamyka przejście, niszcząc je, zamyka... i tak w kółko.

Brenlee, z dobytym mieczem, wraz z resztą, próbował coś wskórać. Doznawali śmiertelnych ran, ale walczyli dalej.

Czarodziejskie istoty czarowały jak potrafiły najlepiej.

Portal zbliżał się już ku końcowi, została ostanía część. Pora zakończyć cierpienia. Dźgnęłam się sztyletem po samą rękojeść, nie trafiając w narządy, ponieważ "Słowa z boską mocą muszą zostać splamione krwią wypowiadającego, nieśmiertelnym sądem ostateczny". Ów księga została stworzona po to, by w ostateczności anioły zmierzyły się z diabłami. Nadeszła ta pora. Krew się polała. Stworzenia na dole kończyły swój żywot.

Ostatkami sił starałam się nie tracić przytomności.

Anioły się przebiły. Są już blisko. Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie skończyłam. Jeszcze chwila. Chwila... I zniknęli. Wszyscy.

Zamrugłam, oszołomiona. Zgarnęła je woda. Ktoś użył magii pierwotnej wody. Z Najad oprócz mnie była przecież tylko młoda Melis - chwila. Tylko Melissa. Tak młoda nimfa wodna nauczyła się tkać wodę?

Przyjrzałam się jej na tyle, na ile mogłam, z tych kilku metrów. To nie była sama woda. To... krew. Poprawka. Melss nauczyła się tkać wodę ORAZ krew.

Magia mną szarpnęła. Spojrzałam ku górze. Portal był gotowy.

To już koniec - pomyślałam a kąci mych ust uniosły się lekko ku górze. Koniec... Melss i inni już sobie poradzą. Zaszyją się gdzieś aż będzie po wszystkim.

Moje powieki opadały wraz ze mną, spadającą w otwartą przestrzeń. Czar przestał działać. Wszystko toczyło się już samo.

Bo to był już K O N I E C.

Zamknęłam oczy i nie poczułam już nic innego prócz ulgi. Zrobiłam, co mogłam. Melss, Jesiona, Brenlee i inni będą bezpieczni. Zostało tylko czekać.

B O T O K O N I E C naszej roli do odegrania.

V

Wszędzie była nieokielznana ciemność a ja niczego nie czułam. Chociaż lepszym stwierdzeniem byłoby powiedzenie, że odczuwałam wszystko i nic jednocześnie. Żadnych uczuć. Brak reakcji, myśli. Tylko ja. I pochłaniająca mnie ciemność.

VI

Do mej monotoni wdarło się światło. Zaczęłam odczuwać bodźce. Ciężkość powiek przysłaniająca oczy.

Nie było już "nic", teraz było "coś". Czułam moje ciało. Nogi. Ręce. Twarz. Każdy szczegół oraz coś, czego nie potrafiłam zidentyfikować.

- Budzi się.

Do mej głowy zaczęły docierać różnorodne dźwięki, każdy skrzeczący sprawiał, że pierwsze, co zrobiłam po przebudzeniu, to skrzywienie się. Chciałam spać. Nie czuć. Nie istnieć.

- Vernie? – usłyszałam.

Mimo trudu otworzyłam gwałtownie oczy, słysząc ten głos..., głos... Czyj głos...?

- Jak się czujesz?

Leżałam na ziemi a nade mną znajdowała się postać, lecz nie potrafiłam powiedzieć, kto to był. Obraz był rozmazany, ale pamiętałam ten głos. Rozpoznawałam go. Należał do ważnej mi osoby. Tylko kim był ten ktoś? Kim ja byłam?

Mój wzrok nabierał ostrości. Najpierw pełno przytłaczającej jasnej zieleni, później szeroki uśmiech a na koniec zaszklony wzrok. To zobaczyłam.

- Melss? - powiedziałam tak głośno, jak tylko byłam w stanie.

Sama czułam się inaczej, lecz ona... Ona wydawała się inna. Rysy twarzy niby takie same a jednak ostrzejsze. Dojrzałe. Silniejsze. Jesiona? Brenlee? Do mojego pola widzenia wdarły się jeszcze dwie całkiem bliskie mi osoby. Powoli zaczęły docierać do mnie wydarzenia wcześniejszej nocy.

Nie miałam pojęcia, co wydarzyło się po tym, gdy spadłam z wysokości i zakończyłam rytuał.

Chwila.

Zaczęłam się szarpać.

- Pomóc ci wstać? - zapytała zmartwiona Melissa.

Kiwnęłam głową. Po chwili siedziałam oparta o drzewo, ale ciągle czułam coś na plecach.

- Skrzydła - wychrypiałam zszokowana.

To je czułam. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam ich. Takie dziwne i... moje. Nie byłam pewna czy kiedykolwiek się do nich przyzwyczaję. Zwłaszcza w wodzie. Jak ja będę teraz żyć?

- Tak, są twoje - odparła zmieszana Jesiona. - I nie tylko. Jakby to powiedzieć? Emm... Od teraz tak jakby jesteśmy...

- Nieśmiertelni - dokończył Elf. Wytrzeszczyłam oczy.

- Jakim cudem? - nie rozumiałam. - Czekaście, powiedźcie od początku. Po tym jak skończyłam a Melss - dotarły do mnie kolejne wspomnienia - tkąła krew - spojrzałam na nią.

- Krew... jeszcze nigdy nie widziałam, poprawka, nawet nie słyszałam o magii krwi. Jak to zrobiłaś?

- Ciężko powiedzieć - podrapała się po głowie. - Przyszło naturalnie po tym, gdy wreszcie nauczyłam się kontrolować wodę.

- Niemożliwe - kąciaki moich ust mimowolnie uniosły się ku górze. - Udało ci się! I to w tak młodym wieku. Ogromny wyczyn - objęłam ją ramionami. Czułam, że wszystko mnie boli.

- Uważaj - odezwał się Brenlee. - Masz świeże szwy na prawie całym ciele.

Zamarłam, by po chwili przymknąć oczy. Wspomnienia. Od samego początku. Więcej wspomnień. I jeszcze więcej. W i ę c i e j. Przypomniałam sobie wszystko, więc ponowiłam jedno z pierwszych pytań.

- Jak my to wszystko przeżyliśmy? Jak ja, skoro... - nie dokończyłam, bo Jesiona wstrząsnęła moimi barkami.

- No właśnie! Jak mogłaś nam to zrobić? W jednej chwili jesteś na górze i otwierasz portal a w następnym spadasz z nieba, jak na ironię – prychnęła. - Całe szczęście, że Molly cię złapała. Całą we własnej krwi!

Molly. Jej i wielu innych imion nawet nie zdołałam poznać, mimo ich poświęcenia dla sprawy. Poczułam skurcz w żołądku, po raz trzeci ponawiając pytanie.

- Jak to wszystko się potoczyło? Odpowiedzcie w końcu.

- Cierpliwa to ty nie jesteś... - westchnął Brenlee. - W skrócie: bili się, bili, aż w końcu się wybili.

- Musiałaś długo nad tym głowkować, co? - zaśmiałam się, przewracając jednocześnie oczami. - Ale teraz - tak na serio. Co się wtedy z wami stało? - podkreśliłam zwłaszcza przedostatni wyraz.

- Portal był dosłownie wszędzie, więc postanowiliśmy się skryć. Nawet nie zwracali na nas uwagi. Zajęli się sobą nawzajem. Mogliśmy się spokojnie zaszyć - powiedziała Meliss i zaraz po tym, widząc moje świdrujące spojrzenie, dodała: - No, może nie tak spokojnie. Ale uzdrowiciel cię uleczył zanim zdążyłaś kopnąć w kalendarz. Tylko dlatego żyjesz i jesteś nieśmiertelna. Zresztą jak my wszyscy. Bo przez ten cały czas byłaś nieprzytomna.

- Przecież w naszej grupie nikogo takiego nie było.

- Och, jeszcze nie wiesz? Staliśmy się popularni. - Uśmiech zawitał na twarzy Brenlle'a. - Po aniołach wdarła do nas reszta, widząc, co się święci. Dowiedzieli się, co i jak, i najważniejsze, że zawdzięczają nam życie. Tobie za połączenie czeluści piekielnych z niebiosami. Mi za nasz genialny plan i walkę. Jesionie za jej truciznoznanstwo, co umożliwiło nam tą część z tobą oraz głązy, którymi na wszelki wypadek nas osłoniła a wcześniej odgradzała anielskie istoty. Melissie, bo w końcu też używa magii pierwotnej i dzięki niej dosłownie strąciła przeciwników z planszy.

- A co z tymi wszystkimi, którzy poświęcili życie, dając nam czas, by działać? I tym, którzy tę obronę przeżyli? - dociekałam.

- Już nie dramatyzuj - oponowała Driada. - Właśnie spisują wszystkich tych, którzy brali udział w wyzwoleniu i do innej listy tych stu czterdziestu dziewięciu porwanych.

- Powstaną o nas legendy - twarz Melss była ciepła i łagodna a jednocześnie tryskająca energią i dynamiką.

- Więc już po wszystkim...- wyszeptałam.

- Mhm, już koniec. Jesteśmy wolni. Możemy wracać do domów i cieszyć się życiem -powiedziała Jesiona zaskakująco łagodnie.

- Jasne, zapomnimy o tym wszystkim i będziemy żyli długo i szczęśliwie.

Uśmialiśmy się, lecz u każdego z nas, gdzieś z tyłu głowy był strach, że już nigdy nie pogodzimy się z tymi wydarzeniami, że już nigdy nie będzie nam dana spokojna noc bez koszmarów. Ale żyliśmy. I mogliśmy brnąć do przodu, przez życie.

Nasze nowe nieśmiertelne życie.